

SŁOWO WSTĘPNE

Niniejsza publikacja stanowi zbiór wypowiedzi ze spotkania „Nauki Humanistyczne i Społeczne w Polsce 2014: Analiza – Diagnoza – Prognoza”, które odbyło się pod auspicjami Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich 14 kwietnia 2014 roku w Warszawie. Mimo że przygotowania trochę się przeciągnęły, materiały zawarte w tej książce nie straciły na aktualności.

Na pozór wydaje się, że polska humanistyka stanęła na zakręcie i ma spory problem, żeby odnaleźć się w złożonej sytuacji dnia codziennego na uczelniach XXI wieku. Komitety kryzysowe biją na alarm i wzywają do radykalnego odrzucenia obecnego systemu nauczania, a szczególnie obecnego systemu finansowania badań: szerzą się „grantomania”, „cytomania” i „punktoza”, przypadłości, na które nauki społeczne i humanistyczne nie są w stanie wytworzyć odpowiednich antycyjał. Na to nakłada się jeszcze konflikt pokoleniowy pomiędzy „młodymi” a „starymi”. Ci pierwsi stają się przedstawicielami naukowego „prekariatu”, są zobligowani do osiągnięcia dobrych wyników badawczych za głodowe stypendia i uposażenia adiunktów, podczas gdy ci drudzy stoją na straży systemu i zainteresowani są przecież utrzymaniem obecnego stanu rzeczy, w którym pracownik z habilitacją, a tym bardziej tytułem naukowym, ma zapewniony dożywotni byt na uczelni, nawet jeśli nie opływa w dostatki. Trudno się nie zgodzić z tymi konstatacjami.

Mam nadzieję, że z kart tej publikacji płynie jednak trochę inny obraz. Nie wiem czy bardziej optymistyczny, czy wręcz przeciwnie.

Po pierwsze, okazuje się, że sytuacja w naukach humanistycznych i społecznych jest bardzo zbliżona do problemów w innych naukach, na przykład napływ chętnych na studia wyższe na kierunku fizyka czy astronomia jest tak samo niewielki, jak na studia na kierunku filozofia czy filologia klasyczna. Niż demograficzny dotyka w całości polskie uczelnie, które chyba nie do końca się do niego przygotowały.

Po drugie, atak skierowany w stronę procedur grantowych jako źródła głównego zła uważam za chybiony. Prawdziwe natomiast jest stwierdzenie, że w systemie finansowania nauki jest zdecydowanie za mało środków. Przynajmniej dwukrotnie za mało. Gdyby w Narodowym Centrum Nauki (dalej: NCN), głównej agencji grantowej wspomagającej badania podstawowe, a takie w większości prowadzone są w jednostkach humanistycznych i społecznych, wskaźnik sukcesu wynosił 25%, a nie 12%, tak jak dzisiaj, ciekawe i wartościowe aplikacje zdobywałyby finansowanie w o wiele większym stopniu. Jednym z elementów harmonogramu są koszty osobowe dla kierownika i wykonawców. Tu można upatrywać realnej szansy pewnej poprawy sytuacji finansowej doktorantów i młodych adiunktów na dwa – trzy lata, czyli czas trwania grantu. Nie trzeba dodawać, że środki grantowe pozwalają sfinansować wyjazdy konferencyjne i wydatki publikacyjne, a zatem ułatwiają naturalny rozwój kariery. Ponieważ prawdopodobieństwo zdobycia kolejnego grantu rośnie w przypadku poprawnej realizacji poprzedniego, dalej droga rozwoju jest już ułatwiona. Warunek podstawowy: należy bezwzględnie podnieść, czy nawet zwielokrotnić, budżet konkursów grantowych! Przedstawiciele nauk humanistycznych i społecznych bardzo dobrze sobie radzą w sięganiu po środki grantowe. Spojrzenie na wskaźnik sukcesu dotyczący zdobywania grantów na UAM w Poznaniu uwidacznia, że jest on bardzo zbliżony odnośnie do nauk ścisłych i technicznych oraz humanistycznych. Czyli

aplikacje są równie dobre, chociaż nadal sięganie po środki grantowe nie jest tak częste jak w innych dziedzinach; nie wszyscy się jeszcze do tej formy przekonałiśmy, chociaż zdecydowanie widać różnicę pokoleniową: młodzi aplikują częściej.

Bez pardonowa krytyka procedur grantowych ze strony niektórych młodych pracowników nauki dziwi mnie jeszcze z dwóch powodów. Jaka była bowiem rzeczywistość przedgrantowa? Otóż wówczas środki na tzw. badania własne służyły na poszczególne katedry i zakłady, w dół struktury organizacyjnej uczelni. Środków tych było niewspółmiernie mniej niż teraz ze źródeł grantowych. Kto decydował o ich podziale? Kto decydował o tym, kto pojedzie na konferencję i dostanie środki na staż? Oczywiście posiadacze tytułów i habilitacji, osoby w zdecydowanej większości bardzo godne i sprawiedliwe, zainteresowane też rozwojem młodych kadr, ale przecież taka procedura prowadziła w niektórych przypadkach do nadużyć i jeszcze pełniejszego uzależnienia „młodych” od „starych”. Odpowiednio zasilony finansowo system grantowy zrywa z takimi praktykami, wprowadza element równościowy i jakościowy: wszyscy aplikujący o środki są traktowani równo. Środki płyną niezależnie od struktur uczelni. Badacze przedstawiają aplikacje i najlepsze pomysły otrzymują dofinansowanie, zdarza się, że adiunkt pozyskuje dofinansowanie na swój projekt, a profesor nie. Poza tym szczególnie w przypadku nauk humanistycznych i społecznych, gdzie nie potrzeba tak drogiej i skomplikowanej infrastruktury badawczej, a dostęp do źródeł bibliotecznych, ale tylko częściowo, można uzyskać za pośrednictwem internetu, system grantowy podnosi szanse badaczy z mniejszych ośrodków, gdzie pieniądze na badania własne byłyby wręcz śladowe. Dobra aplikacja staje się przepustką do zdobycia grantu, w pewnym stopniu niezależnie od lokalizacji i rozmiaru uczelni.

Wróć jednak do podstawowego problemu: środki na naukę i szkolnictwo wyższe. To w ich skromnych rozmiarach leży cały problem, przy takim zaangażowaniu finansowym zbudowanie społeczeństwa opartego na wiedzy i innowacji pozostanie jedynie pustym frazesem. O powadze sytuacji, a zarazem braku jej zrozumienia, świadczy oficjalny list Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego wychwalający sprawność polskich naukowców w sięganiu po środki w pierwszych konkursach programu Horyzont 2020: prawie 17% wniosków otrzymało dofinansowanie. Tymczasem wskaźnik sukcesu w konkursach NCN-u spadł poniżej 13%. To tak jakby naszemu własnemu resortowi zależało mniej na rozwoju badań i nauki w Polsce niż agendum brukselskim!

Tymczasem podobno w kraju budujemy społeczeństwo oparte na wiedzy. Poczyniliśmy już pierwsze kroki w tym kierunku, ale obawiam się, że niedostateczne finansowanie doprowadzi do zaprzepaszczenia epokowej szansy; i to właśnie jest najbardziej pesymistyczny akcent. Przykładowo, w wyniku dynamicznego wzrostu i rozwoju w ciągu ostatnich dwóch dekad polskie ośrodki akademickie uzyskały wszystkie niezbędne atrybuty w konkurencyjnej walce o studenta zagranicznego. W dużej mierze dzięki rozsądnemu wykorzystaniu środków unijnych stworzyliśmy infrastrukturę badawczą i zaplecze lokalowe na miarę XXI wieku. Nowoczesne kampusy, budynki dydaktyczne i laboratoria polskich uczelni nie odbiegają standardem od najlepszych ośrodków europejskich i światowych. Na studentów i doktorantów czekają miejsca w nowoczesnych akademikach bądź mieszkania do wynajęcia w standardzie deweloperskim. Do kompletu dysponujemy kadrą naukowo-dydaktyczną gotową do podjęcia się kształcenia studentów z zagranicy na masową skalę. W polskich uczelniach pracuje teraz pokolenie młodych adiunktów, z których każdy przebywał

przynajmniej przez rok na zagranicznym stażu w wiodącej jednostce w swojej dziedzinie. Ci pracownicy naukowo-badawczy publikują w językach obcych (głównie po angielsku) i są gotowi prowadzić zajęcia w tym języku. Poza tym od lat w takim trybie przygotowujemy zajęcia dla studentów przyjeżdżających do Polski w ramach programu Erasmus. To pokolenie nie odczuwa żadnych kompleksów i znakomicie czuje się w warunkach międzynarodowej konkurencji i mobilności. Na dodatek infrastruktura naszego kraju rozwinęła się w wystarczającym stopniu, żeby podróżowanie do nas oraz poruszanie się po Polsce nie stanowiło olbrzymiego wyzwania. Podobnie znalezienie godnego lokum, miejsca pracy dla współmałżonka, szkoły dla dzieci, itp. Dla wielu krajów ościennych, ale też dalekich państw azjatyckich czy afrykańskich, jesteśmy bardzo atrakcyjnym krajem leżącym w centrum Unii Europejskiej.

Wobec powyższego, wzrost nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe powinien nastąpić właśnie teraz. Dalsza zwłoka może doprowadzić do utraty wielkiej szansy rozwojowej, szansy rozwinięcia, choć już przecież teraz z pewnym opóźnieniem, innowacyjnej dziedziny gospodarki narodowej. Wszak po upadku wielu tradycyjnych gałęzi przemysłu, uczelnie stały się w wielu miastach największymi bądź jednymi z największych pracodawców. Studenci przyjeżdżający do ośrodków akademickich naturalnie wywołują wzrost zapotrzebowania na usługi, generują tysiące miejsc pracy nie tylko na samych uczelniach, ale głównie w ich otoczeniu.

Nie jest też tak, że ogólny brak środków w budżecie uniemożliwia jakąkolwiek poprawę; można wykonać przynajmniej dwa konkretne kroki. Los polskiej humanistyki (i nie tylko) zostałby odmieniony, gdyby wobec poważnego zasilenia budżetu Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (NCBR) ze środków unijnych, przesunąć środki kra-

jowe do NCN-u. W chwili obecnej NCBR ma łącznie około 5,5 miliarda PLN, a NCN jedynie około 900 milionów. Od decyzji ministra zależy przesunięcie środków ze źródeł krajowych pomiędzy tymi agencjami. NCN z dwukrotnie większym budżetem (wspomagany przez zreformowany ostatnio Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, NPRH) stałby się bogatym mecenasem polskiej nauki, w tym szeroko rozumianej humanistyki.

Krok drugi wymaga samozaparcia i konsultacji ze środowiskiem, ale jest bezspornie fundamentalny: dokonanie formalnego ustawowego zapisu zabraniającego na kilka lat podejmowanie zatrudnienia na uczelni, na której zdobyło się stopień doktora. Rozwiązania takie funkcjonują od dawna między innymi w USA oraz RFN i prowadzą do dwóch bardzo pozytywnych konstatacji. Po pierwsze, ograniczają w dużym stopniu konkursy „ustawiane pod swoich”. Teraz już „swoich” nie będzie, bo „swoi nowi doktorzy” będą musieli szukać zatrudnienia w innej jednostce. Komisje konkursowe zaczną z większą uwagą przyglądać się poszczególnym kandydatkom i kandydatom. Na pewno nie wykluczy to wszystkich nieprawidłowości, ale system taki podniesie wymóg transparentności. Zakończy się tym samym jeden z podstawowych patologicznych wyróżników naszego dotychczasowego systemu, w którym od zdobycia tytułu zawodowego magistra po tytuł profesorski przechodziło się przez wszystkie etapy kariery w tym samym miejscu pracy. W wielu przypadkach kariery te przebiegają prawidłowo, ale niestety, zdarzają się przypadki „utruty motywacji”, trudne do wyleczenia, bo „to przecież swój, może ma gorszy rok – dwa, ale...” Po drugie, zwiększy się mobilność, w tym mobilność międzynarodowa. Kandydaci na stanowisko adiunkta zaczną aplikować do różnych uczelni na terenie Polski, a przy okazji przyjdzie im do głowy myśl, że zamiast szukać szczęścia w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu

czy Poznaniu, można spróbować je znaleźć w Hamburgu, Sheffield, Gandawie czy Paryżu. Jednocześnie, w sposób jak najzupełniej naturalny, dziekani i rektorzy będą na podstawie konkursów zainteresowani zatrudnieniem jak najlepszych kandydatów, w tym również takich, którzy doktoraty obronili w Paryżu, Gandawie, Sheffield czy Hamburgu. Taka sytuacja wymusi naturalną mobilność, która jedynie pociągnie za sobą podniesienie poziomu konkurencyjności zespołów badawczych na naszych uczelniach. 25 lat po upadku muru berlińskiego nauka polska (w tym polska humanistyka) będzie zmuszona opuścić swoją twierdzę niemożności. I tylko na tym zyska, bo już teraz radzi sobie całkiem nieźle, biorąc pod uwagę kierowane na nią środki.

Na stronach niniejszego tomu czytelnik odnajdzie całą gamę poglądów pojawiających się obecnie w środowisku. Od alarmistycznych i ultrakrytycznych wobec MNiSW, wobec przyjętych procedur (głównie parametryzacji, ale też finansowania badań w drodze konkursowej) oraz wobec poszczególnych podmiotów w procedury te zaangażowanych (NCN, NPRH, KEJN) po bardziej stonowane i uspokajające. Ta różnorodność i ton wypowiedzi znakomicie oddają złożony obraz środowiska akademickiego w naszym kraju, środowiska, które aktywnie kreuje swoją teraźniejszość i przyszłość.

Jacek Witkoś